ROZMAITOŚCI.

Dnia 3. Października. № 40. Roku 1855.

RAFAEL I FORNARINA.

Z francuskiego pana Méry.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 37. 38. 39. Rozmaitości.)

8.

Cela prac Rafaela.

Cela przed chwilą tyle spokojna, wrzała teraz odgłosem rozmów, dźwięków, żartów, wesołości młodych ludzi których ogrzewał promień sztuki; sam tylko Rafael słuchał z roztargnieniem, czoło zamyślone, serce zajęte, myśl niespokojna zdawały się rozlewać odwzór trwogi po twarzy.

Wkrótce zajaśniały światła i lampy, a śledcze oko gorliwych uczniów z zadumieniem postrzega nowe arcydzieło, utwor niezrównany, pojęty i wykonany w chwili bostwom tylko pochopnéj; zamilkli wszyscy, oko zatonęło w tęczach wylanych na płótno a oblewających twarz Fornariny, którą nieśmiertelna ręka ich mistrza stworzyła.... stali w milczeniu, język zmartwiał na widok rzeczy boskich, cudownych.

Nikt téż lepiéj, i pewnie lepiéj jak my, nie pojmował świętości i powagi sztuki nad tych młodych ludzi oddanych dziełom nadobnym z wiarą, poświęceniem i całą gorliwością roznieconéj fantazyi, u których sławą już było módz słuchać mistrza wielkiego i okazać przed światem poprawki, któremi ręka jego ozdobić raczyła utwory ich pędzla. Żaden mistrz w świecie tyle wziętości nie miał, młodzież z Włoch całych dobijała się o zaszczyt zostać uczniem Rafaela, często nawet widywano malarzów wiekiem podeszłych, jak przychodzili składać u jego stóp swoje Madony i swoje Nimfy, za wyraz chęci swych przyodziać skromność wielkiego artysty w to co im było najdroższém.

Giulio Romano piérwszy ośmielił się przerwać milczenie; porywa za rękę Rafaela, drugą wskazuje na płótno migocące w połysku kolorów do światła, i mówi z wzruszeniem i głosem drżącym: Mistrzu czy to sen?.. czy wytwór cudownéj fantazyi saméj, że tu ożyły wszystkie piękności nadobnéj córki Fornara Gaffarellego? bo tylko u niéj jednéj na całym świecie ten bujny włos złoty wykrada się z-pod korónek, u niéj tylko te duże oczy niebieskie, to spoj-

źrzenie miękkie, co porywa, uwodzi, te usta milutkie, stoczone w roskosz pocałowania. Mistrzu, powiedz, sen-to, lub téż czy Farnaro dai Coronari nie uległ wreszcie prożbom twoim?...

Bracia! ozwał się Rafael z swą ujmującą słodyczą głosu, zataić chciałem przed wami ten obraz dopiéro w narysie, ale-ście mię uprzedzili...

I mówiąc to zatopił Rafael wzrok swój w swój obraz, i widoczne zachwycenie zdawało się unosić go w zaziemskie pola.

Mistrzu, przebacz, przyszliśmy jak zwyczaj po pracy nie wiedząc o niczém.

Dobrze, Giulio! mówi Rafael, przychodząc jak ze snu do siebie, ciesz się, cieszcie się bracia, dzień dzisiejszy będzie wielki w dziejach sztuki. Widzicie ten odwzór rozpoczęty?... Jest-to kamień węgielny do pomnika, który wy wszyscy ze mną, wystawimy dla potomności na sławę Leona X naszego Ojca świętego. On-to mi dziś rano przywrócił życie, wysłuchał proźby niegodnego sługi, i świętym głosem swoim przemówił za mną. Błogosławione bądź imię jego, i Pana w niebiesiech!

Mistrzu co mówisz?

Jak-to Giulio! nie pojmujesz, ten odwzór, nic ci nie mówi?

Prawdziwie Mistrzu, nie śmiem domyślać się... Ojciec święty miałby był powtórnie udzielić wyraźnego rozkazu?

Zgadłeś.

I Fornarina poszła za tobą? a wstręty ojca, coż? zwolniały?

Stella jest tu, mój drogi; a ja w obawie by jéj nie stracić schwyciłem rysy na płótno, jutro dokończę wzoru.

Chwała ci Panie w ojcu świętym! wykrzyknął Giulio Romano, słusznie wiek ten nazywać będą wiekiem Leona X, teraz będziemy mieli tryumf Galatey.

Uczniowie przysłuchywali się rozmowie nie przerywając; Giulio mówił za wszystkich, a jego słowa wychodziły z ich wszystkich serca. Jeden tylko Vanozzi najmłodszy, i ostatni z przyjętych do grona téj szkoły zdawał się być roztargnionym i mniéj uważał co mówiono.

— Teraz kiedy już posiadam, mówi Rafael do Giulia, i mam przy sobie tę kobiétę którą nieba dla mnie stworzyły, rozpoczniemy prace nasze z nową otuchą; dokończymy *tryumfu Galatey*, dla hrabiów Farnezych powstaną w freskach *dzieje Psychy*, pracować będziemy, i chociażby życie wiekami trwało, wyda nam się za krótkie. Nadtraciliśmy czasu cokolwiek *nella botega del Fornaro Gaffarelli.*

— Woli teraz on tracić, powiedział któryś żartem; poszło mu na odwet, bo nie wiesz mistrzu gdzie on jest teraz.

— Co nam do tego, mówi Rafael.

— Ale on tu u twoich drzwi, klęczy przed domem.

— O biédny! westchnął Vanozzi mocno wzruszony.

W téj chwili otwierają się drzwi, i wchodzi Fornaro Gaffarelli.

9.

Ojciec i Córka.

Kto widział Gaffarellego dniem wprzódy, byłby go nie poznał; blady i zmieniony, barki się pochyliły, włos zsiwiał,

rano mąż w całéj sile, wieczór dziad ztyrany, bo zgryzota prędko sponiewiera. W twarz wryły mu się boleści i żale, że na widok poniemiały wszystkim usta; i którym się przed chwilą żartować chciało, teraz im litość mowę związała.

Wszedł Gaffarelli między uczniów, ale oko jego Rafaela tylko szukało — Rafael sam stał nie do poznania, młodzieniec pełen życia i natchnienia przed chwilą, teraz twarz blada, struchlała, przejęta obawą, żalem, litością, a w walce z postanowieniem dochować skarbu życia i nadziei swoich. Fornaro zbliżył się chwiejąc, pada mu do nóg i składając ręce mówi:

— Córkę moją Mistrzu, wydaj mi córkę moją!

I czyjeż-by serce nie zadrzało na głos rozpaczy?

— Ojcze! mówi Rafael, podnosząc go i sadzając w krzesło, gdzie wprzódy Stella siedziała, ojcze uspokój się i wspomnij co wyrzekł Ojciec święty. Wydać ci jéj nie mogę, ale odwiedzaj ją kiedy sam zechcesz.

Giulio Romano nie chcąc być przeszkodą w rozmowie, dał znak uczniom, wkrótce wyszli wszyscy, sam tylko stroskany starzec pozostał w celi z młodym Rafaelem; pragnął pocieszyć ojca, czego jednak Fornaro w rozżaleniu swém nie czuł, niemy siedział, łzy tylko płynące przemawiały za te boleści, które szarpały duszę jego.

A nic smutniejszego jak łza w starca oku. Rafael nowego jak jeszcze nigdy, zaznał wrażenia na widok téj boleści niemej, gorzkiéj, a słusznéj jak sam pojmował, ale któréj złagodzić nie mógł, a przynajmniéj przemódz się nie mógł, by dla spółczucia wydał mu córkę, by się rozłączył z tém co jemu było życiem, co dla Włoch i wieku Leona ozdobę i potomną sławę zwieściło. Lecz ażeby przecie uśmierzyć żale ojcu, chwyta za obraz jeszcze z-pod pędzla nie oschły, stawia przed oczy starcowi i mówi słodkim głosem jak do kochanki:

— Patrz Gaffarelli, co ze Stelli zrobiłem!

Na odgłos imienia ukochanéj córki wzniósł ojciec oczy, i ujźrzawszy jéj portret:

— Oh! panie Rafael, dobry jesteś, dzięki ci! lecz nie portretu, ale ją samą chciałbym widziéć, ją samą! Nie przychodzę zabrać ci jéj, niech zostanie kiedy chce sama, ale pozwól zobaczyć ją!

I na chwilę łzy płynąć przestały.

Po tém zapewnieniu pośpiesza Rafael na wyższe piątro; serce mu biło gwałtownie gdy otwierał drzwi do pokoju, dokąd uprowadził Stellę za nadejściem swych uczniów.

Była-to sala w pełny czworobok, zaokrąglona w sklepieniu, a ozdobiona ze zbytkiem jak w owym wieku u artystów bywało; okna wychodziły na ogród, a w dali za cieniem drzew przebijało się niebo, to piękne niebo jakiém szczodra natura oblała Włochy.

W téj sali zostawała Stella przez czas rozmowy i scen z uczniami i ojcem na

dole, czas długi dla dziewczęcia tylu uczuciami w tym dniu nękanéj, a w zadumaniu co jeszcze nastąpić może, i w niepewności ochłody wrażeniom z dnia tego, umysł rozmarzony zasypia przy świetle migocącéj lampy tuż obok łoża.

Spiącéj Galatey obraz jeszcze nie wpadał geniuszowi Rafaela na myśl, tu mu się sam od siebie w żywéj postaci objawił, jak od szkarłatnéj powłoki łoża lice Galatey się odbijało wdziękiem róż białych i rumianych, jak po twarzy jéj spadające prążkami włoski złote przeobrażały prąd złotych promieni słońca w Olimpie. Suknia w falistym spadzie zapowiadała miękkość, lekkość i okrągłość członków, a odbicie całéj postaci w zwierciedle weneckiém obok, ponawiało i przyczyniało wdzięków jakie migotne świec światło wywabiało.

Zawrzało serce pod wrażeniami uczuć jakich nie doświadczało jeszcze, dusza zawrzała żądzą artysty przytrzymać to objawienie niespodziewane bóstwa, lecz oraz umysł się zatrwożył obawą by ta nowa cudowna postać nie spłonęła w marę duchów, nie znikła ockniona ze snu lubego. Więc się w cichości przysuwa, odetch w sobie zapiera, zbliża się i usiada u podnóżka łoża dziewicy, i zatapia wzrok swój w twarz ubóstwioną. Godzina mijała, już cisza nastawała w ulicach i w domach, i nocne wiatry szumieć zaczynały nim się Stella ocknęła, i wzrok jéj padł na ulubioną postać Rafaela.

Niewidomą władzą niesiona ręka zsuwa się ku twarzy mistrza, tchnienia się zbliżają, a słowo wytrąca z ust piérwsze drzenie miłości słodkie a ciche bo z niewinnego serca ukradkiem wysłane, wywabione jak echo w odległościach z tajemnic serca, gdy kochanek wyrzekł: Kocham cię Stello! ozwało się: twoją-m jest Rafael.

I artysta i dziewczę zapomnieli świat i godziny, i Fornara Gaffarellego, który ich oczekiwał na dole.

Biédny ojciec zapomniał także o świecie w adoracyi obrazu córki swojéj; oko w jéj rysach zatopione zgubiło rozmiary czasu, serce w boleściach pogrążone zapomniało dnia i nocy. Córka mu była światłością, jéj obrazem przygaszał pamięć cierpieniom.

I tak w zapomnieniu siebie zaumierali na czas: Stella i Rafael sycąc uczucie rzeczywistością, Gaffarelli żywiąc je marzeniem istoty. Za ocknieniem dopiéro opłaca dusza niepamięć siebie boleściami i walką zrażonych uczuć. W sercu Stelli przemogła tęsknota niewieścia; „jam twoją Rafael i do domu nie wracam,“ w sercu Gaffarellego rozpacz; i zemdlonego uniesiono do osobnéj komnaty. Chory, na siłach zwątlały, pozostał w domu Rafaela.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ORDALIA SPRAWDZONE

czyli

nieczułość ludzkiego ciała na roztop żelaza.

(Dokończenie. Ob. Nr. 39. Rozmaitości.)

Doświadczenia te gruchnęły po świecie, i uczeni berlińscy zaczęli je powtarzać, wszędzie równie szczęśliwie, tak że wątpliwości niema. Ja sam, powiada autor tego artykułu w dzienniku „Die Natur“ wydawanym w Lipsku przez piérwsze znakomitości świata uczonego, ja sam przedświadczyłem się własną na sobie próbą, trzymając rękę w tak zwanéj kąpieli kruscowéj o 300 stopniach gorącości, i żadnéj dolegliwości nie czułem. — Odtąd zbiegać zaczęły się świadectwa zewsząd, a w końcu pokazało się, że nic nowego pod słońcem. P. profesor Rose przypomniał sobie jak trzydzieści lat temu zwiedzając huty szwedzkie w Avestadzie, jeden robotnik czerpał gołą ręką roztopioną miedź z tygla, i za kilka groszy miotał na ścianę. A sztuczką tą bawiła się na téj hucie czeladź od dawna, bo wspomina już Lichtenberg o niéj w swoich odczytach. P. Dnmas zwrócił uwagę na dawny zwyczaj po hutach szklannych, wlewać roztop szkła w naczynie z wodą, i misić gołemi rękami, a nigdy nie słychać ażeby woda przytém skwierczała lub syczała. P. Davenport poznał dawniéj jeszcze jakiegoś robotnika przy królewskich warstatach okrętowych w Chatam, jak zanurzał rękę wyżéj kostki w kipiący dziegieć o temperaturze 220 stopni i nabierał dziegciu w dłoń jak w czerpaczkę. Ale jednogłośnie wszyscy przestrzegali, że ktoby w rękawiczce wsadził rękę do kotła, spiekłby się okropnie. Nie chciałem tego doświadczenia robić, mówi p. Davenport, bo miałem nowe rękawiczki, ale palec goły zanurzałem, trzymałem i jeździłem palcem w różne strony, i gorącości nie zaznałem. Takie same z dziegciem doświadczenie miał w Rydze pewny leśniczy; ześlizła mu się ręka z kotła, gdy z ogniska zdejmował, i luboć zanurzyła się całkiem w kipiątek dziegciu, nie było na ręce ani śladu oparzenia.

W jaki sposób p. Boutigny te zjawiska tłumaczy, zostawiamy sprawdzenie uczonym; tu podamy tylko niektóre przykłady w dowód nieparzelności ciała ludzkiego.

Czyby też stanął kto gołą nogą na zarzące żelazo? pytał p. Perrey czeladź na hucie jednéj koło Dijonu. — A jest tu jeden u nas, co się w to zawsze bawi, odpowiedzieli mu. I w rzeczy saméj wystąpił jeden z robotników, i bez wahania stanął naprzód jedną nogą na gęś przed kwadransem ulaną, *) potém posadził drugą stopę, i to znagła wskok, tak że w chwili wstąpienia spoczywał cały ciężar ciała na nodze. Przygotowania tyle było, że z wierzchu oczyścił gęś z piasku, i podeszwy swojéj stopy otarł o pantalony, tak ażeby gdzie się nie zatrzymało jakie ziarno piasku.

Jego przykładem ośmielony p. Perrey zdjął z siebie obuwie, i posadzał trzy razy stopę na zarzącą gęś, ale chodzić po niéj nie miał odwagi. Za piérwszym razem miał wrażenie zimna, za drugim czuł coś tak jak zwykle się czuje, kiedy noga jakiego ciała dotyka, za trzecim zaś razem poczuł że lew żelazny (jak się jeden z czeladzi wyraził) ma w sobie żar; Perreya strach zebrał, i odechciało mu się posuwać doświadczenia daléj. Ale w czasie prób pociła mu się mocno noga i twarz, lecz nie wyglądał blady. Na powierzchni zaś gęsi w chwili po doświadczeniu nie było ani śladu, dopiéro poźniéj wystąpiły znaki stopy, a w półgodziny potém odbijała się dokładnie cała stopa kolorem ciemno-brunatnym. W uprzedzenin jednak zostawała cała czeladź, że ręką

---

*) Bryła trzygraniasta topionego żelaza prosto z-pod kurka.

nie można rozpalonego żelaza się dotykać, nawet i ten sam, co tak śmiało po gęsi chodził, mniemał, że by się nie ochybnie poparzył.

P. Legal obok tych doświadczeń przywodzi na pamięć doświadczenia innego rodzaju, wiążące się podobieństwem. Oto opowiadają marynarze do bieguna północnego, że temperatura 42 stopni zimna bynajmniéj im nie wadzi, byle powietrze było spokojne; zaś że zimno 25 stopni przy wietrze najlżejszym staje im się niezmiernie dotkliwém, a nawet uszczerbek zdrowiu sprowadza. Zachodzi w tém arcywielkie podobieństwo z doświadczeniem gorącości; różnica jedynie na tém: przy jednêm chodzi o zbyteczny ubytek, w drugiém o zbyteczny nadmiar ciepła.

Mimowolnie naciskają się pamięci dawne świadectwa sądów bożych i owe Ordalia gdzie rozpalone żelazo odgrywało główną rolę. Inaczéj one nam przy tém, co teraz wiemy, zaświécą, i wywodem niewinności nie będą. Czyli zaś przyrządziciele owych prób wiedzieli o tajemnicy, i tylko pozorem gawiedź uwodzili, mogą historycy sprawdzać. My wiemy tyle, że próby ogniowe jeszcze za czasów Sofokla były w zwyczaju, bo w jego Antygonie oświadcza się poseł z próbą taką na poparcie prawdy tego, co mówił.

A podobnych wiele przykładów w dziejach. Zoroaster powiada o sobie: książę Magów chciał go zabić jeszcze dzieckiem; ale wyciągając miecz uschła mu ręka, więc wrzucono dziécię w płomienie ognia; ale płomienie zamieniły się w kąpiółkę, jakby wodą różaną oblały. A gdy poźniéj między zwolennikami prawodawcy tego powstały spory, i wielu wiary odstąpiło, zgromadził król Sapor (r. 211) Magów i polecił im obmyśleć środki jak odszczepieńców nawrócić. Na to jeden z Magów doradził próbę ogniową i sam się nastawił. Stanął pod kocioł roztopionéj miedzi i na gołe swe ciało kazał z kurka rozstop wypuścić. Ciało zostało nietknięte, a odszczepieńce tym cudem przekonani nawrócili do wiary. — Boutigny dodaje: próbka to wcale niewinna i snadnie być mogła.

Obyczaj był w Kastabali, świątyni kapadockiéj Dyany, powiada Strabo, że ksienie zakonu tego w pewne dnie chodziły po żarze węgli rozpalonych, a zaś że Hirki w świątyni Apolina nad Soraktą w Etruryi mieli w obyczaju, stawać i chodzić po rozpaloném żelazie pod czas uroczystości obchodu rocznego święta. Za to wolni byli od służby wojennéj, i mieli inne jeszcze swobody. Ale że Rzymianin na to co patrzał nie wierzył w cuda, dla tego Varro dodaje, chodzą po ogniu prawda, ale jakimś balsamem wprzódy nacierają podeszwy.

Byłaby może z czasem zagasła i pamięć tych wieści starożytnych i sądów bożych ze średnich wieków, gdyby się pod porę nie byli pojawiali kuglarze, co bawiąc lud widokiem rzeczy dla nich niezwyczajnych, żyli z jego darów swobodni bez trosk i pracy. Przy końcu siedmnastego wieku zaszedł był jakiś Anglik Richardson, co gryzł, jak powiadają żarzące węgle, łykał szkło topione, a roztopem ołowiu język sobie polewał. Kuglarz, i to mu uchodziło.

Ale największą na się ściągnął uwagę piérwszemi laty bieżącego stulecia Hiszpan jeden, znany we Francyi, we Włoszech i w Niemczech pod różnemi nazwiskami, ale wszędzie poznawany z wzrostu, ponurych oczu i czarnych włosów mocno kręconych. Piérwszy raz występował w r. 1802 w Paryżu; ale wtedy jeszcze téj sławy nie miał; z raportu do akademii przesłanego wyczytujemy: mył się wrzącym olejem temperatury 94 stopni, chodził po rozpaloném żelazie, lizał językiem rozpaloną szynę, a popod pachy i uda podsuwał gorejącą świécę albo pochodnię. W Neapolu, Hanowerze i w Monachyum wyprawiał sztuki swoje pod ostrym nadzorem ludzi uczonych, i nie miano mu nic co zarzucić. Do wiadomych sztuk swoich dodał jeszcze, że kawał fosforu spalił na dłoni, który jak wiadomo okropnie

piecze, i sprawia bolesną ranę, bo przy spaleniu rozwija z siebie kwas bardzo jadowity.

Z nim razem występowała w Marburgu jakaś kobieta w masce Indyanki, która chwytała zębami rozpalone obcęgi i przenosiła z miejsca na miejsce na czterdzieści kroków odległe. Z Niemiec wyjechał pod nazwiskiem Roger do Petersburga, i tam gdzieś przepadł, powiadają, że popiekł się na śmierć.

Takie cuda tłumaczył sobie każdy jak mógł, ale uczonym, nie były niezwyczajne. Wollaston donosi: jeden z moich przyjacioł często liże językiem rozpalone żelazo, i nic mu nie szkodzi; tylko musi być język dobrze wilgotny, i trzeba umieć. To samo wspomina Tolloch o jakimś konwisarzu, ale dodaje wyraźnie: tylko żelazo musi być rozpalone do czerwoności, inaczéj piecze.

Przed rozpoczęciem sztuk swoich smarował się kuglarz jakąś wodą, jak powiadają. Docieczono wkrótce że to był roztwor ałunu, i rozpławiony kwas siarki. Santini w Neapolu dociekłszy tego, użył jeszcze mydła; namydlał sobie ręce i ciało, obmył potém wodą, osuszył, i robił wszystko co kuglarz, i dowiódł uczenie, że mydło zabezpiecza skórę cale od żarn. Inny środek ochrony od parzenia i spieki jest tkanka z asbestu.

Dwadzieścia łat poźniéj po Rogerze, zajęły świat doświadczenia p. Aldiniego z Medyolanu. Kazał porobić stroje z asbestu na całego człowieka z głową, z wierzchu pooplatał drucianą siatką, która jak wiadomo z odkrycia p. Davy, nie przepuszcza płomienia. W takim stroju mógł człowiek śmiało stać w pośród płomieni i nic mu nie szkodziło. Próby pokazywał w Paryżu w obecności komisyi akademicznéj. Jeden w takiém odzieniu i kasku, trzymał dziesięć minut głowę w płomieniach ciągle podsycanych, i nic nie czuł. — Wysadzono potém ulicę z chrustu i słomy trzydzieści stóp długą, a na trzy stóp szeroką, tak że gdy podpalono, płomienie się zetknęły. Płomienie buchały na dziesięć stóp w górę, a ludzie o dwadzieścia pięć kroków ostać się z gorąca nie mogli. A ci co byli w owym odzieniu, przecie przechadzali środkiem owéj ulicy tam i na powrot, do tego wolnym krokiem, co większa, wzięli jeszcze z sobą i dziécię, dali mu czapeczkę asbestową na głowę, wsadzili do kosza przykrytego siatką drucianą, i z niém równie jak sami bez najmniejszego uszkodzenia przebyli płomienie. Wiele jeszcze podobnych prób powtarzał p. Aldini, i dowiódł, że jeżli po umiejętnościach wiele wymagamy, wiele też zawdzięczać winniśmy, gdy nam niosą ochronę i ratunek w najsroższém niebezpieczeństwie.

STARY DZIWAK.

Z pamiętników amerykańskiego doktora.

Mieszkając jeszcze w Battesie, widywałem w księgarni u antykwaryusza jakiegoś gentlemana, w wieku już dobrze podeszły, przetrzęsał półki i szukał starych książek. Nigdy nie chybił czy deszcz, czy słota, wiatr, grad, czy śnieg, byłem pewien zawsze go zastać w okularach przy rozłogu skarbów umiejętnych.

Lubił i ja trochę szperać, i także poświęcałem kiedy mi czasu stało chwil kilka, ztąd też zbliżyliśmy się poniekąd. Wszedłszy zawsze-m go pozdrowił mówiąc: „Dzień dobry“ on na to odmruknął jak niedźwiedź; z tém wszystkiém lubiłem go, bo mi przypominał typ staréj daty bibliofilów; pernka, kapelusz trzygraniasty, surdut tabaczkowy, takie same ecetera, a trzewiki z sprzążkami, a twarz jak pochew spłaszczona, broda wydatna, czoło zasuwiste, nos w odskok porządny, usta wkąszone, oczy wklęsłe a żywe i przenikliwe jak u orła; już patrząc, osądzić można było że to człek jakiś w powołaniu swojém zapamiętały, chociaż nie koniecznie odgadywało się bibliofilstwo.

Raz zapytałem kupca: kto by był ten jegomość i czy mu rad w sklepie?

Rad mu jestem bez wątpienia, bo zakupuje księgi półkami jak mi nadejdzie z Edynburga transport świeżych starożytności; ale co się naprzewraca ksiąg innych za to, a naczyta jak gdyby się na pamięć uczył,

to często cierpliwości nie staje. Lecz kto on jest, wiem tyle co i pan, przychodzi tu gadać z książkami nie ze mną.

Raz wszedłszy zastałem go, obwiązane miał gardło, i mocno pokaszliwał. Jako doktor życzliwy, po części z nawyknienia mówię:

Pan zakatarzony.

Hm! odpowiedział, i głową ruszył.

Brzydki czas, nie należałoby wychodzić, dodałem.

Eh! co tam brzydko, czy ładnie, zkąd panu mi radzić? Kto jesteś? za pozwoleniem.

Słusznie pan zapytujesz, bo oto piérwsza rozmowa po dwóch leciech, co się tu widujemy i witamy. Jestem doktor, mieszkam na przeciwko, i z powołania osądzić mogę jaki czas dla słabego.

Doktor! domyśliwałem się. I chciałbyś ażebym dostał się w twoje ręce, nie prawda? Nie lubię doktorów; medycyna to szarlatanizm; ona-to zapładnia cmentarze.

I daléj do swoich książek, ani spojźrzał już więcéj na mnie.

Tym czasem kaszel się wzmagał, następnych dni widocznie się sam niepokoił, postrzegłem, że się chciał zbliżyć do mnie, ale ja pamiętny piérwszéj rozmowy, unikałem. Nakoniec raz, gdy się mocno zaszedł, mówi do mnie: — Pan jeszcze-ś młody, nie musiałeś jeszcze posiąść całego szarlatanizmu, odwiedź mię jeźliś łaskaw, jutro o godzinie dziewiątéj, może tam znajdziesz co u siebie, od czego by ustał ten kaszel przeklęty, piérwsza słabość moja odkąd żyję. — Wyjął potém z portfeuillu — antyk prawdziwy — białą kartę, napisał swój adres; rzuciłem okiem, stało: „M. W. Maiden-Lane.“ Więc to on, pomyślałem, ów majętny bezżeniec, którego cały świat znał ze sławy bogactw i dziwactwa. Żył samotny, nikt przy nim tylko gospodyni także dziwaczka.

Nazajutrz poszedłem go odwiedzić. Wpuszcza mię ochmistrzyni, ale twarzy wcale nieujmującéj.

M. W. tu mieszka? Pytam.

A kto pan?

Doktor ***; przychodzę na zawołanie pana M. W.

Wnijdź pan. Zostawia mię w przysionku, sama idzie na górę, i bawi z dziesięć minut, musiała się pewnie z panem swoim umawiać; wreszcie słyszę jak woła: wejdź pan, ale wytrzyj buty, abyś schodów nie zwalał.

Usłuchałem, raczéj ażeby uczcić te meble, jak uważałem, odwieczne, i wprowadzono mię do ciemnéj izby, gdzie zastałem jego Mość pana M. W. nad starą książką, tą samą którę przed kilku dniami oglądał w księgarni.

Ah! przyszedłeś mój panie, aleś się spóźnił dziesięć minut, spojźrzawszy na zegarek okrągły jak cebula. Lubię żeby młodzi akuratni bywali, jak było za moich czasów.

Dziewiąta biła, kiedym do drzwi dzwonił, odpowiedziałem, ale z dziesięć minut czekałem w przedsieni, nim mię tu powołano.

Ah! tak! bo też te baby zrzędzą wiecznie, końca niema, jak zaczną. Ale czegoż stoisz jak posąg? zaprosiłem cię mój panie ażebyś mię pozbył kataru, jeźli się uda. Siadaj mój chłopcze.

Postępowanie dziwaczne starego gentlemana, bawiło mię, usiadłem i po kilku zwyczajnych z słabymi pytaniach, poznałem że się łatwo pozbędzie kaszlu, byle się nie wystawiał na wpływ powietrza. Zabawiłem jeszcze chwilkę, chcąc jakąś wzniecić rozmowę, ale stary ledwo co odbąknął, zaraz do swojéj książki i czytał. To co go zajmowało był „Traktat o małżeństwie“ jakiegoś autora z XVI wieku; co tam mogło sześćdziesiątletniego bezżeńca zajmować, tego pojąć nie mogłem. Wstałem, i żegnając przyrzekłem przysłać lekarstwo, i samemu go za kilka dni odwiedzić.

Dopiéro trzeciego dnia, obchodząc moich pacyentów wstąpiłem, i nie czekając aż mię gospodyni zapowie, poszedłem na górę, i nie zważałem że zrzędzi stara. Zapukałem z lekka. Proszę!

Ah! jesteś pan. Nie przysyłaj mi więcéj twoich lekarstw, i wyrzuć za okno, jeźliś co przyniosł.

Żałuję mocno, że moje lekarstwo nie skutkowało, odpowiedziałem.

Alboż lekarstwo doktorskie pomogło kiedy?

Czy brałeś pan w dekokcie lnianym? zapytałem

W dekokcie lnianym? ba jeszcze co? szarlataneryja! wcale nic nie brałem. Oto flaszki, a lekarstwo poszło w miednicę.

Chociaż mię upor dziwaka dotknął, przecież rozśmieszyła skarga chorego, że lekarstwo którego nie zażył, nie skutkowało. Zaniedbany kaszel mógł mu co gorszego naprowadzić; więc postanowiłem wzniecić obawę, i zrobiłem go uważnym, co z tego wypaść może.

Co wypaść! co wypaść? ja kaszlę i to wszystko. Zdrów jestem jak ryba, mam lat sześćdziesiąt cztery, i dotąd nic mi nie dolegało.

W téj chwili pewnie niebezpieczeństwa niema; ale właśnie że pańskie usposobienie silne, mógł by się przy nieostrożności zakraść zaród niebezpieczny.

Dobrze więc; przyszlij mi jeszcze twego lekarstwa; tą razą nie pozwolę nic pani Standish, zrobię jak sam rozumiem.

Żegnam tedy starego dziwaka, ale odchodząc mówi mi: Doktorze nie mógłbym wyjść na godzinkę do antykwarza?

Ah nie można, jeźli się pan chcesz prędko pozbyć kaszlu.

Więc proś go, niech mi poszuka trzeciego tomu do „Traktatu o małżeństwie“ przez jednego z uczonych w XVI wieku, i jeźli znajdzie, bądź tak dobrym przynieś mi sam, gdy mię odwiedzisz.

We dwa dni przyniosłem mu co chciał, i zastałem go prawie wolnym od kaszlu. Moja przysługa zniewoliła go i piérwszy raz zaczął grzecznie rozmawiać.

Z pana piérwszy doktor, sądzę, który choremu poradził. Ci doktorowie to wilki drapieżne, gonią za dolarami; ale może pan tylko od kaszlu masz jakiś sekret, a na inne choroby nic nie umiesz.

Spodziewam się, odpowiedziałem, że jego stan zdrowia nie dozwoli mi próbować zdolności moich, ale myślę że rady moje bywały i w innych przypadkach skuteczne.

Hm! odpowiedział na to. Milczał kilka minut, i byłbym go pożegnał, ale uważałem, że coś chce mówić. Zatrzymuję się więc.

(Dokończenie nastąpi.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*